

22.



Lwów 27. Czerwca 1886.

Tygodnik beletrystyczny.

Wychodzi co tydzień.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7-40 — półrocznie złr. 3-70 — kwartalnie złr. 1-85. Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16. (Kantor „Drukarnia Polska”)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 ct. od wiersza petitowego.

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

ŁAMIGŁÓWKA.

An — arn — da — der — du — dye — e — e — flo — głość —
i — in — kli — kow — ku — le — le — li — lizm — to —
maj — miał — mon — nes — nię — nik — nim — now —
mnie — o — ra — re — ro — sar — ski — ski — śro —
ste — stein — te — to — tow — try — u — wan — zie.

Ku przestrodze dziewic i młodzieńców
Czyli raczej innych zapaleńców,
Którym Amor żary w sercu nieci,
Z słów niniejszych akrostych się kleci.

1. Umarł w Anglii ubiegłego roku
Wszystkich biednych żydów miał na oku.
2. Tak wołają gdy złodzieja łapią,
Gdy się inni do czynu nie kwapią.
3. Na Golgocie wraz z Chrystusem byli
Bo na srogą kaźnię zasłużyli.
4. Kwiat różowy, który bogom w darze
Grecy niegdyś kładli na ołtarze.
5. Gdy przy domu jest owo narzędzie
Bydło pięknie wytuczzone będzie.
6. Ta wspak nader potrzebna dla żony
Kiedy do rozkazów mąż wdrożony.
7. Kraj w tygrysy i węże bogaty
Oraz zdobne uroczyste makaty.
8. Zdrajca o nim Sienkiewicz w „Potopie”
Pisał, że znikł jak mucha w ukropie.
9. Zamek, w którym Lutra narzeczona
Przebywała czekając Filona.
10. To w sieroctwie błąka się bez celu
I choć zwierzę litość wzbudza u wielu.
11. Jest ministrem polskie ma nazwisko
Wiedzieć sobie obrał za siedlisko.

12. Ojcem geografji zwie się snadnie
Bo wymierzył południk dokładnie.
13. Chińska księga o dobrych kobietach
O przymiotach ich czyli zaletach.
14. To okrutne uczuć z zwierzęcenie
Niszczy straszniej niż ognia płomienie.
15. Rzeka — fale wód swych kryształowych
Toczy w pośród gajów cytrynowych.

Rozwiązanie łamigłówki z nrn. 21.

Juwenal — Angouleme — Kelat — Sahara — oblok —
bekas — Jeremi — Ewę — Kierat — Tennesel —
oreż — Potpouil — ogonów — ściany — Ceres —
Pompel — (wspak) — Ernani

Podwójny akrostych tworzy przysłowie: „Jak sobie
kto pośleli, tak się też i wyspi”.

Rozwiązanie kwadratu magicznego:

OGAR, GÓRA, ARAK, RAKI.

Dobre rozwiązanie nadesłali Wni: Adam Krahl ze Lwowa, Dr. J. Prokop z Krakowa, K. H. N. ze Lwowa, Jadwiga Guniewicz ze Starego Siola, Kamila Mayerberg z Sędziszowa, Stefan Raczyński z Stanisławowa, Klementyna Arvay ze Lwowa, Kazimiera Grabowska z Baryłowa, Adam Świtlik z Rzeszowa, Ludwik Pazdanowski z Sędziszowa, Helena Czuczman z Łopatyna, A. Hauff ze Lwowa, Kazimira Bastegen z Romanowa, Julia Huber z Kozaczówki, Jan Liwacz z Węgierskiej górki, Marja Nowosielecka z Nowosielec, Marja Soroczyńska z Kut, Amalja Grünhaut z Krynicy, Stefania Wysocka z Polanki, A. Woroniecka z Sambora, Schindler z Drohobycza, Seweryn Mynarski z Angielówki, Joanna i Roman Sabat, Bronisław Jabłoński z Burkanowa, A. Sławska z Kossocic, S. Kisielewski ze Słopca, Marja Jarzymowska ze Lwowa, S. Korytowski z Strzelnicy.

Wynik losowania: Najpierwsze wylosowane zostało rozwiązanie: Stefana Raczyńskiego z Stanisławowa, pod jego też adresem premia wysłana została.

➡ Za rozwiązanie powyższej łamigłówki przeznaczają się dla prenumeratorów „Kwiatów powieściowych”, „Chata za wsia” powieść J. I. Kraszewskiego. Premję tę otrzyma pierwsze wylosowane rozwiązanie. ➡



Lwów 27. Czerwca 1886. **Tygodnik beletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3.70 — kwartalnie złr. 1.85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca **STANISŁAW MANIECKI.**

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

IX.

(C. d.) Gdy Bodmer wybiegł z salonu, już zmrok zalegał okolicę, a chłodny jesienny wiatr szeleścił liśćmi drzew stojących w aleji, którą szedł Bodmer ku ogrodowej bramie.... Biegł z odkrytą głową; jemu paliło się pod czaszką; gorący pot spływał mu z czoła — chciał je ochłodzić... Trzeba było widzieć go w tej chwili, aby pojąć jaka wulkaniczna natura ukrywała się w tej zimnej na pozór, obojętnej postaci... Formalnie szalał... Ręka jego szarpała poły surduta, z piersi wydzieraly się dzikie przekleństwa, oczy jego miały błyskawicami...

Przypadek wtajemniczył go w rodzinne sprawy Bzowskich; przypadek pozwolił mu naocznie przekonać się, jaka tragedia rozgrywała się w tym świątynnym dworze szlacheckim... Teraz dopiero rozumiał całą doniosłość czynu Bożyckiego; teraz dopiero stanął on przed oczami duszy jego w całej potwornej ohydzie... Ale i Bzowski wydał mu się strasznym; ten ojciec, który tak łatwo poświęcał córkę, wydawał mu się nędznikiem... I córka nie była wynioślejszą, bo dla miłego grosza, dla miłego spokoju oddawała się — wstrętnemu starcowi...

Uprzytomnił sobie z jaką dumą zarzuciła mu niestosowne znalezienie się w salonie i rozśmiał się głośno... Żądać od niego salonowości w chwili, gdy w nim przekipiła oburzenie!... A jednak w jej spojrzeniu było coś, co go zastanawiało... Wyglądała jakby nierozumiała dobrze słów jego oburzenia... Czyżby ona istotnie poświęcała się dla ojca?...

Ta myśl zajmowała go właśnie w chwili, gdy dochodził do swojego powozu... Wsiadł i kazał szybko jechać do Leśnej. Jadąc rozmyślał nad swoim ostatniem przypuszczeniem, a wiatr chłodził jego głowę, uspakajał jego nerwy...

Przed oczami stała mu ciągle młoda panna, piękna jak marzenie, majestatyczna jak królowa a smutna jak posąg bólu... Tak, ona była smutną, bardzo smutną, gdy weszła do salonu; tarła ręką czoło, westchnienie poruszało jej piersią... Ona rzeczywiście musiała się poświęcać dla ojca, chciała mu zapewnić spokój, zaspokoić sobą pretensje Bożyckiego, których w inny sposób uścić nie umiała. Teraz żał mu się zrobiło, że ją napadł słowami bezwzględnego oburzenia, że ją pożegnał nauką, do której nie go nieupoważniało. O i owszem!.. upoważniał go prosty obowiązek człowieka, który widzi że ktoś drugi rzuca się w przepaść... Jeśli w niej jest choć iskierka poczucia własnej godności, powinna by po słowach jego zerwać z Bożyckim, a iść drogą obowiązku i pracy... Jeśli tego nie uczyni, to stracona; niezasługuje nawet na litość...

— A jednak, kto wie, czy nie zasługuje? — pytał sam siebie w myśli. — Zkąd pewność że ją kto uczył pojmować życie, jak się pojmować powinno? Kto mi zareczy, że to dziewczę miało jedną życzliwą duszę, która je wiodła drogą prawdy? Kto mi zareczy że ta salonowa dama nie byłaby inną, gdyby jej kto wskazał drogę rzeczywistego obowiązku? Nie mam prawa potępiać, bo jej nieznam, bo nie-



wiem co wpływało na jej postanowienie... Zasluguje na współczucie i niepowinna oddać ręki nikczemnikowi.

Bożycki przypomniał mu skrypta... Te skrypta on trzymał w ręce, on był panem sytuacji nie Bożycki...

Uderzył się w czoło, jak człowiek, który się dziwi że pierwej czegoś nie pojął... Toż ani Bzowski ani córka jego nie wiedzą o sprzedaży skryptów... Bożycki był zbyt przebiegły, aby się zdradzić przed nimi... Ona nie wie że Bożycki jest bezsilny... że ona niepotrzebuje się poświęcać... Trzeba jej to powiedzieć... Trzeba wyswobodzić ją z rąk dusiciela...

Tarł ręką czoło, zbierając myśli... Jakiem prawem mógł się mieszzać w życie rodziny obcej mu, nadawać sobie prawa opiekuna... on, który sam czychał na ich zgubę, który wstępował w ślady Bożyckiego, aby ich wywłaszczyć z ziemi... A jednak coś go pchało do wypełnienia raz podjętej myśli...

Już powóz był na połowie drogi do Leśnej, gdy Bodmer zawołał na woźnicę:

— Zwróć na miejscu i co konie wyskoczą, pędź do kościoła w Bzowie. Znasz drogę?

— Znam panie...

— Zatem naprzód a prędko!...

Woźnica zawrócił, konie pobudzone lekkim smagnięciem pędziły jak szalone. W pomroce wieczornej tylko migotały przedmioty przydrożne; wiatr smagał rozpaloną twarz Bodmera, a jemu zdawało się że drogi nie ubywa. Bał się opóźnić, radby był ptakiem dolecieć do kościoła... Nareszcie zobaczył na wzgórzu między drzewami kościółek bzowski, zobaczył światło bijące z drzwi i okien...

Dech w sobie zaparł, ucho nateżył... zdawało mu się że słyszy organy grające: Veni creator!..

Ledwie konie osadziły przy bramie cmentarzyka kościelnego, wyskoczył z powozu. Tłum wieśniaków zalegał obejście kościoła. Twarze ich zwróciły się ciekawie ku powozowi, gdyż sądzili że zajeżdża orszak weselny... Pierwszego napotkanego zapytał Bodmer...

— Czy już po ślubie?...

— A toć jeszcze nawet państwa młodych nie ma, wielmożny panie — odpowiedział stary kmieć. — Dopiero ich czekamy...

Bodmer odetchnął i chustką otarł pot z czoła.

Wieśniacy zbitą masą stali przed kościołem, tak że do drzwi niepodobna się było dostać... Szczęściem Bodmer stanął tak, że struga światła z wnętrza kościoła, padła na jego twarz i wieśniacy poznali pana z Leśnej. Zaraz jeden z nich krzyknął:

— Gromada! a zróbcie tam miejsce panu z Leśnej!

Jakby na komendę rozstąpiły się tłumy i Bodmer mógł swobodnie dostać się do przedsionka.

Kościół był rzęsiście oświetlony. Koło ołtarza stały grupy egzotycznych kwiatów, a posadzka od drzwi wchodowych aż do ołtarza zaścieniona była kobiercami. Kościół był pusty. Tylko na chórze siedział organista z kalikantem, tylko w prezbiterium kręcił się kościelny poprawiając tu i ówdzie to kobierzec, to oprawę świecy, to ustawienie kwiatów...

Bodmer stanął pod chórem i oparł się o jeden z bocznych słupów... Chciał tu stać aż do przybycia państwa młodych; tu chciał spojrzeć w oczy Bożyckiemu, tu chciał powiedzieć pięknej damie że jej ofiara jest zbyt cenną... Stał bez ruchu, zapatrzony w ołtarz, ale się nie modlił. Nadsluchiwał tylko czy nie jadą powozy...

Spostrzegł Bodmera kościelny.

— Co tu chce ten luter? — zamruczał pod nosem, a że pojawienie się Bodmera było dla niego rzeczą niezwykłą i niewytłumaczoną, poszedł o niem donieść księdzu. W kilka minut powrócił, zbliżył się do Bodmera i przemówił:

— Ksiądz proboszcz kazał prosić wielmożnego pana do siebie...

— Mnie? Chyba się mylicie panie kościelny — ja nie znam ks. proboszcza...

— Ale ks. proboszcz zna wielmożnego pana i wyraźnie mi mówił: idźcie prosić na plebania...

— Niech i tak będzie. Prowadźcie mnie, bo miejscowości nie znam.

— Proszę przez zakrystję, bobyśmy się przez ciżbę niedostali...

Bodmer szedł za kościelnym zdziwiony zaproszonymi nieznanego sobie proboszcza. Gdy weszli do plebanji, kościelny otworzył jedne drzwi i Bodmer znalazł się w skromnie urządzonej saloniku proboszcza.

Nizki, chudy, siwy staruszek, w odświętnej rewerendzie podniósł się z krzesła i powitał wchodzącego.

— Kościelny mi doniósł, że pan dobrodziej jesteś w kościele, więc ośmieliłem się prosić go tutaj, bo wygodniej czekać w ciepłym pokoju, jak w pustym kościele, gdy wiatr po nim śwista... Zresztą ślub dopiero o ósmej, a więc możemy jeszcze blisko półgodziny pogawędzić, jeśli łaska i wola... Proszę pana dobrodzieja siadać...

Staruszek podsunął Bodmerowi krzesło i sam usiadł napowrót. Na twarzy jego starannie wygolonej igrał ciągle dobroduszny uśmiech; oczy nad wiek żywo spoglądały i uśmiechały się także. Bodmer przypatrywał mu się z zajęciem...

— Ksiądz proboszcz widocznie mnie zna, czem ja niemogę się poszczycić.

— Cóż dziwnego panie łaskawy — rzekł ksiądz łagodnie. — Kto stoi wysoko, tego muszą widzieć wszyscy, a kto stoi wśród tłumu, ten na siebie ni-

czyjej uwagi nie zwraca... Jakżebym zresztą nieznał mojego najbogatszego parafianina...

— Czy istotnie nim jestem? — zapytał Bodmer.

— A to ładnie — zaśmiał się staruszek — niewiedzieć do jakiej się parafji należy... Toć Leśna i Grzmoty do bzowskiej parafji się liczą..

— Pierwszy raz dowiaduję się o tem...

— Indyferent z parafianina dobrodzieja... indyferent, i gdyby nie ciekawość, toby pan łaskawy pewno nie był zajrzał do swego parafialnego kościoła...

— Wiódł mnie tutaj obowiązek, nie ciekawość...

— A — jeśli tak: to absolvo!... i niepytam o więcej, bośmy do gawędki a nie do spowiedzi zasiedli... Może pan dobrodzieju cygarko zapali?

— Chętnie...

— Tylko że to u mnie chuda fara i cygara ładajakie — mówił ksiądz podając gościowi pudełko z cygarami i zapalki. Bodmer wziął jedno i zapalił.

— Ksiądz proboszcz ma mnie za sybarytę... Mój dobrodzieju, były czasy gdy dwugroszowe cygaro smakowało mi jak najkosztowniejsze hawanna. Nie zawsze ja byłem krociovym panem...

— Coś słyszałem. Podobno bywało i kręto koło pana?...

— Jeszcze jak kręto! — zaśmiał się Bodmer.

— Ale z bożą pomocą dorobił się łaskawy pan majątku... Ot, co mówić, ludziska prawią o kilku milionach...

— Do tych jeszcze daleko.

— Przyjdą, panie łaskawy, przyjdą, jak przyszła dobra sława u ludu...

— Mam taką? Żartuje proboszcz ze mnie.

— Kiedy mówię że jest, to jest. Z początku moi chłopkowie uciekali od pana i pańskich zakładów, nazywali pana niesamowitym Bodmerem; potem kręcili głowami a dziś to każdy powiada: Rzetelny pan i grzeczny jak jaki graf... a u chłopka przymiotnik rzetelnego pana, to summum pochwały...

— Robi się co można, byle go dźwignąć do siebie...

— Słyszę, słyszę, a nawet sam widziałem. Daleko i szeroko niema takich szkół jak u pana dobrodzieja, a prócz tego szpital, czytelnia, kasa zapomóg i oszczędności... Niech Bóg pomaga!

— Dziękuję za życzenie; czuję że z dobrego serca pochodzi.

— Z najlepszego, panie łaskawy, bo mnie jako syna ludu cieszy gdy widzę, że ktoś się chłopkiem zajmuje i jemu dobrze robi... Ale, mój dobrodzieju, kiedy się o ludziach pamięta, toby i o Bogu nie należało zapominać... Zdałby się kościół w Leśnej...

— Wszakże ks. proboszcz mówiłeś że Leśna ma parafię w Bzowie...

— No, tak, łaskawy panie i dobrodzieju mój, ale że teraz w Leśnej jest ludność pięć razy większa

jak dawniej, więc kościółek mój za mały i zdałaby się kapelanja w Leśnej.

— Obecnie nie mogę myśleć o tem. Jestem tak zaangażowany w różnych przedsięwzięciach, że mi brak jakiegokolwiek rozporządzalnego kapitału, a kapelanja wymagałaby uposażenia... Ot, wiesz co, księżo proboszczu, jeśli się kiedy ożenię — kończył z uśmiechem Bodmer — i wezmę za żonę grosz jakki, to z posagu żony postawię dla moich ludzi kościółek w Leśnej...

— Verbum nobite? — rzekł ksiądz wyciągając rękę...

— Nie jestem szlachcicem — powiedział Bodmer.

— Mnie wystarczy słowo uczciwego człowieka... Zatem?

— Słowo, księżo dobrodzieju! — Bodmer podał rękę proboszczowi. Ten zatarł dłonie; był widocznie bardzo kontent...

— Masz pan teraz we mnie gorliwego swata — śmiał się wesoło. — Muszę pana jak najprędzej ożenić abym miał kościół... Spuść się pan na mnie... Mam ja i dobre ucho jeszcze i niezłe oko... Wyszukam coś ładnego...

— O piękność mniejsza, byle rozum był...

— Jedno drugiemu nie wadzi, a młodemu zawsze milej spojrzeć na ładne pysio, jak na brzydkie..

— Ksiądz poboszcz wie to z doświadczenia?

— Naturalnie mój dobrodzieju — ale to: tempi passati!..

— Mnie się zdaje, że ksiądz proboszcz i dziś jeszcze woli ładne twarze... i naprzykład za chwilę serdeczniej spojrzy na piękną twarz panny młodej, jak na zgrzybiałą, steraną twarz pana młodego... — Mówiąc to, Bodmer patrzył bystro na proboszcza.

Ten brwi zsunął, czoło namarszczył, złożywszy ręce jak do modlitwy..

— Prawda, prawda!.. Ha! dziej się wola Boża nie moja... Innego losu spodziewałem się dla mojej Maryjki...

— Pannie Bzowskiej Marja na imię?

— Tak, panie łaskawy. Sam ją chrzcilem, teraz mam jej ślub dawać... Co to za dobre dziecko... jaka to miła, rozsądna panna!.. Tylko z tem jej zamężciem stało się jakoś po nijakiemu... Sama chciała, a ojciec niema siły oprzeć się jej woli..

— Doprawdy? Taką ma nad nim przewagę?

Dopiero w ostatnich czasach; dawniej on rej wodził. Z kościami pocziwe człeczysko, ale gwałtowny... Zmienił się dopiero po chorobie i tak zdziadział, że nie czuje sił do dalszego prowadzenia majątku... Jak słyszałem miał upelnoletnić córkę i na nią przenieść majątek...

Bodmer poruszył się niespokojnie.

— I kiedyż się to stało? — zapytał.

— Przed dwoma tygodniami; mówił mi o tem pan Bożycki. Ale Mania dowie się o tem przed sa-

mym wyjazdem do kościoła... Ma to być dla niej niespodzianka...

Bodmer zbladł... Przez zahipotekowanie Bzowa na imię Marji pretensje jego oparte na osobistych skryptach Bzowskiego, traciły wszelką wartość... Był przekonany, że myśl tej machinacji — na jego szkodę, wyszła z głowy Bożyckiego...

— Dowiaduję się rzeczy bardzo dla mnie ważnych — Bodmer powstał z krzesła i spojrzął na zegarek. — Już kilka minut po ósmej...

— To zaraz tutaj będą... — zapewniał proboszcz. — Bzowscy są bardzo słowni.

Ksiądz szukał biretu. Bodmer ironicznie się uśmiechnął gdy usłyszał zapewnienie o słowności...

— Może ksiądz proboszcz nie fatygować się do kościoła, gdyż ślubu nie będzie... — rzekł Bodmer stanowczym podniesionym głosem...

— Jakto? co pan mówisz? — zadziwił się ksiądz. — A toż jakim sposobem?

— Bo ja do ślubu niedopuszczę!...

— Chryste panie! Apage satanas! — przeżegnał się proboszcz. — Zkądże pan? Dlaczego pan? Wszakże pan nie żyje z Bzowskimi, nie zna ich... Wiem to przecież dokładnie...

— To niema nic do rzeczy. Ja tu w tym celu przybyłem, a ksiądz swemi wyjaśnieniami co do pełnoletności panny Bzowskiej, utwierdziłeś mnie w zamiarach...

— Na jakiejże podstawie chcesz pan zerwać małżeństwo? — pytał ksiądz z widocznym wzruszeniem.

— Na tej że pan młody jest nikczemnym oszustem, godnym sądu i kaźni.

— Rany boskie!.. — proboszcz chwycił się za głowę. — Ale dowody! dowody?

— Mam je z sobą! — Bodmer uderzył ręką po tece....

Proboszcz wypatrzył się na mówiącego a potem chwycił jego rękę.

— Jeśli to wszystko prawda — niech ci Bóg nagrodzi! — rzekł z uniesieniem. — Nawet ja kapłan niemogłem jej odwieźć od zamiaru poślubienia tego starca wyniszczzonego; może panu się powiedzie ta sprawa. Boże! spraw by to czyste dziecko nie zetknęło się z brudem tego świata!..

— Amen! — dokończył Bodmer z powagą, kładąc rękę na ramieniu proboszcza. — Nazwałeś mnie księżę indyferentem; wiem że cię gorszę nie bywając w kościele twoim od lat wielu, nie odprawiając obrzędów, ale wierz mi, że choć jestem niedowiarkiem, choć we mnie wiedza wyparła wiarę, nie dopuściłbym się tego, czego się dopuścił bigot Bożycki, niezdobyłbym się na krok jaki uczynił pobożny Bzowski, nie oddałbym mojej niewiary za bezmyślną religijność panny Bzowskiej... Dziś mnie ksiądz nie pojmiesz, ale wkrótce wszystko ci się wyjaśni...

W tej chwili wbiegł kościelny.

— Jada! — krzyknął i wybiegł z powrotem.

Ksiądz zapiał kilka dolnych guziczków sutanny założył biret na głowę a podszedłszy do Bodmera proszącym głosem powiedział:

— Mój łaskawco, tylko niech się stanie co się stać ma bez głośnego skandalu, bez zwracania na siebie uwagi. Najlepiej w zakrystji, aby lud nie widział zajęcia między wami.

— Bądź księżę spokojny. Rzec załatwię cicho, niepozornie...

Zmierzali ku drzwiom, gdy one otwarły się i do salki wbiegł profesor. Wbiegłszy chwycił księdza w ramiona, wyściskał, wycalował, a tak był tą wstępną operacją zajęty, że niespostrzegł stojącego na uboczu Bodmera.

— Daję ci słowo stary wygo — przemówił wreszcie, sadzając wycalowanego proboszcza na krzesło — że od czasu mojego urodzenia nie byłem tak wesoły, jak w tej chwili... Przybywam do ciebie wioskowy apostołe chrześcijańskiego bałwochwalstwa aby ci oznajmić, że Numa nie pójdzie już za Pompiliusza i że ty swoją wajdelocką powagą i przygotowane z mozołem arcydzieło oratorskie, możesz zawiesić wygodnie na kołku!...

— Zawsze żartować lubisz... — skrzywił się proboszcz.

— Niech mnie djabli wezmą, jeśli żartuję!.. Mówię ci wyraźnie a po polsku, że ślubu już nie będzie.

— Wszelki duch pana Boga chwali!... — zawołał ksiądz — Cóż się stało?

— Nic się nie stało!... Marylka powiedziała Bożyckiemu w ostatniej chwili bądź asan zdrów i basta!...

Gdyby który z rozmawiających spojrzął był w tej chwili na Bodmera, byłby zobaczył jak pod wrażeniem słów profesora twarz jego się wyjaśniła, jak odechnął całą piersią i z wdzięcznością popatrzył na zwiastuna tej wieści. Potem niespostrzeżenie zbliżył się do drzwi, podczas gdy proboszcz ścisnął znowu profesora z radości.

— A toś mnie ucieszył mój Antosiu! — weselił się ksiądz. — Niech ci Bóg wynagrodzi... Gdzież pan jesteś, panie Bodmer?

— Chciałem wyjść — odrzekł wołany. — Misja moja skończona, a zwierzeń przyjacielskich obcemu słuchać nie wypada...

Profesor zobaczywszy „cywilizatora“ — jak go zawsze nazywał — zbliżył się do niego, wziął za rękę i od drzwi odprowadził.

— O i owszem, panie! Tych zwierzeń posłuchać musisz, boś pan sam w sprawę wnięszany.

— Ja? — zdziwił się Bodmer.

— Potem o tem a teraz należy mi się zaprezentować, bo choć już raz miałeś pan nieprzyjemność widzenia u siebie mnie, jednak wówczas zachowałem

ścisłe incognito. Dziś jestem Antonim Bzowskim, doktorem filozofji, profesorem uniwersytetu i członkiem wielu uczonych, przeuczonych, niedouczonych i nieuczonych towarzystw, kawalerem własnego krzyża i wielu innych obcych, stryjem niedoszłej pani Bożyckiej i wielbicielem takich jak pan cywilizatorów — alias straszylek na szlacheckie niedoperze...

Wszystko to wyrecytował profesor szybko, z komiczną powagą, która zdradzała jego dobry humor i pobudzoną okolicznościami jowialność.

Bodmer z szacunkiem uściśnął podaną dłoń profesora.

— Z prawdziwą przyjemnością poznaję wydawcę „Monumentów“ i przykro mi żem tak niegrzecznie przyjął niedawno pana profesora...

— Nie sobie pan z tego nierób... Byłem wtedy w skórze szlagona nie profesora.

— Siadajcie panowie łaskawi — zapraszał proboszcz — ja tylko każę pogasić światła w kościele i wracam do was... Na tę wesołą nowinę napijemy się węgryzka...

— Tylko nie daj cićkusza odpustowego — zaśmiał się profesor.

— Chuda fara dobrodzieju — zapewniał ksiądz — na tokaje mnie nie stać...

— Et! kto by tam temu wierzył, stary dusigroszu.

Ksiądz wyszedł a profesor zwrócił się do Bodmera.

— Z proboszczem siedzieliśmy w liceum na jednej ławce i zaprzyjaźnili się. Chłopski syn ale go dzień być szlachecciem. Ma tylko jedną wadę, całej kaście księży wspólną — jest hipokrytą... Będzie cię zapewniał, że groszem nie śmierdzi a w worku dukaty dzwonią... Jak mój brat przejął na siebie majątek po ojcu, wyprosiłem u niego dla kolegi prezentę i siedzi tutaj jakie 40 lat...

— Zdaje się być bardzo do rodziny panów przywiązany.

— Istotnie, a szczególne łaski ma u niego moja bratanka...

Ksiądz powrócił, a za nim służąca wniosła na tacy butelkę i trzy kieliszki.

— Najstarsze jakie mam w piwniczce — zapewniał staruszek otwierając butelkę. Gdy chciał nalewać trzeci kieliszek, Bodmer zatrzymał jego rękę.

— Ja nie piję wina, księżo proboszczu..

— A to co znowu? Jeden kieliszczyk nie zaszkodzi...

— Niepiję nigdy, zapewniam dobrodzieja. Woda jest moim jedynym napojem.

— Ha! trudno! Przymuszony pacierz panu Bogu nie miły... Więc my się trąemy, Antoni.

— Z ochotą! Pereat Bożycki! — zawołał profesor. Po wypiciu dodał: — Hm! maślacz... dobry maślacz... A widzisz popie, że masz i rzadkości w swojej księżej bibliotece. .

— Ale... nie barszkuj, tylko opowiadaj o Maryjce, umieram z ciekawości — naglił ksiądz.

— Umiera a wino pije ze smakiem!... — śmiał się profesor. Następnie zwrócił mowę do Bodmera: — Trzeba panu wiedzieć, że córka mojego brata jestto młode, ładne stworzenie; w główce ma dobrze, w sercu jeszcze lepiej. Otóż gdy Bożycki o nią się oświadczył a ona go przyjęła, osłupieliśmy wszyscy, tj. ja, chrestna matka jej, pani Molska, i ten obecny tutaj stary wyga... Bo trzeba panu znać Bożyckiego, co to za człowiek i jaką ma zszarganą przeszłość...

— Oszczędź mi pan opisu — znam go zbyt dobrze...

— Dobrze... Cośmy się dziewczynie naperswadowali, nazaklinali — nie i nie... Pójdę za Bożyckiego, muszę iść — rób z nią co chcesz... Przed godziną była już ubrana do ślubu. Mieliliśmy jechać do kościoła... Wtedy ojciec oznajmia jej, że upełnoletnił ją i Bzów przepisał na jej imię, zatem intercyzę ślubną ma podpisać sama. Bożycki daje jej pióro — a ona odtrąca je i patrzy na niego takim pogardliwym wzrokiem, żem się zastanowił. Nie będę pańską żoną!! Trzeba wam było widzieć tableau jakie nastąpiło. Rejent zglupiał, Bożycki zaryczał jak postrzelony osioł, mój pan brat upadł na krzesło a Maryjka klekła u nóg jego prosząc o przebaczenie... Tylko ja i senatorowa niestraciliśmy przytomności. Kazałem wyjść rejentowi, Molska pochwyciła Maryjkę obawiając się aby Bożycki w przystępie wściekłości nie pokąsał jej. Cała sprawa wydała się, bo Bożycki sam ją zaczął wywlekać. Dowiedzieliśmy się ładnych rzeczy! Czy ty uwierzysz księżuniu że Onufry był Bożyckiemu winien 40.000 rubli?...

— Rany boskie! Co ty mówisz? 40.000!...

— Ani o złoty mniej. Ty masz pewnie dwa razy tyle...

— Zawsze ci żarty w głowie... Opowiadajno dalej, bo coraz ciekawsze.

— Onufry musiał się z tem zwierzyć Marji, jak go Bożycki przyparł o zwrot, a ona chcąc go ratować, przyjęła oświadczyzny starego trupa...

— Święta dziewczyna! — ksiądz złożył z uwielbieniem rękę.

— I byłaby się zaprzedała, gdyby jej w ostatniej chwili jakiś opiekuńczy duch nie dał siły do oparcia się...

— Bóg rohi cuda!... — ksiądz wznosił oczy do góry. Bodmer tylko się dziwnie uśmiechnął.

— Wydało się także, że Bożycki stracił cały majątek na giełdzie. Sam się przyznał, że skrypta Onufrego w potrzebie zastawił czy sprzedał, że ich niema, że je oddał w ręce najzaciętszego wroga Bzowskich...

— Któż to taki? — zapytał ksiądz ze zgrozą.

— Bożycki wyznał że pan Bodmer...

Ksiądz odsunął się z krzeselkiem od gościa swego i spojrzal nań tak przestraszonym wzrokiem, że profesor aż się zaśmiał. Bodmer także mu zawtórował.

— Cóż się boisz jak stara baba! — zawołał profesor. — Przecież pan Bodmer cię nie zje... Słuchaj tylko dalej... Gdy Maryjka usłyszała, że skrypta ma Bodmer, aż się zatrzęsała z oburzenia... Jak pan śmiałeś doradzać ojcu aby się wykreślił z hipoteki, skoro wiedziałeś że ma zobowiązania, jakich pod karą infamji dotrzymać wypada? Powiadam panom, że byłbym ucałował dziewczynę... Bożycki usprawiedliwiał się że zrobił to w celu odwłoki, że otrzymawszy w posagu Bzów, byłby się układał z Bodmerem, słowem kręcił jak mógł, ale z wszystkiego widać było że to oszust skończony... To też Maryjka, jako pani domu, pokazała mu drzwi, bo ojciec zrobił się kompletnym safandulą i tylko jęczy: jesteśmy zgubieni, mimo że mu córka powtarzała bezustanku: nie, ojczu, jesteście uratowani. Wyjdziemy z Bzowa ubodzy ale czysti...

— Święta dziewczyna! — powtarzał ksiądz, podczas gdy Bodmer siedział ze wzrokiem ku ziemi skierowanym.

— Co to święta! To kompletnie rozumna dziewczyna!... Słyszałem jak mówiła do Molskiej, gdy ją tamta pytała o powód nagłego zerwania: Mnie się zdaje matko, że smaczniejszy chleb ńędzy wśród pracy, niż rozkosze okupione szczęściem serca...

Gdyby profesor patrzył teraz na Bodmera, zauważyć by musiał, jak twarz jego zapłonęła, jak drżenie przebiegło jego postać... Powstał z krzeselka.

— Pan profesor sądzi, że po tej katastrofie, zarząd majątku obejmie jego bratanek? — zapytał.

— Ale z pewnością! Mój brat stracił głowę zupełnie. Ona zresztą już od kilku tygodni, tj. od czasu choroby ojca, objęła rządy. Ma głowę nie od parady... Poznasz ją pan, bo przecież trzeba będzie porozumieć się co do tych skryptów. Pojmiesz pan że niedopuszczymy, abys pan miał być pokrzywdzonym, dlatego że jednemu kiepskiemu człowiekowi podobało się grać ciuciubabkę z panem...

— Tymczasem chciej pan zapewnić swoją bratanekę, że ten którego jej odmalowano jako najzacietszego, nieubłaganego wroga, jest dla jej bohaterskiej duszy przejęty uwielbieniem i w układach o skrypta gotów poczynić ulgi najdalej idące... Konie już długo czekają na mnie — zatem żegnaj panów...

Podał z koleji rękę profesorowi i księdzu.

— Niech Bóg prowadzi — rzekł proboszcz i dodał ciszej: — A proszę pamiętać o moim kościółku w Leśnej...

— Ja mówię tylko: do widzenia — powiedział Antoni — gdyż Bzów jest teraz w stosunkach z Leśną — a one wymagają spotkania...

— Zatem do widzenia! — Bodmer wstrząsł prawicę profesora raz jeszcze i zniknął za drzwiami

Ledwie wyszedł za próg domu, profesor zwrócił się z pytaniem do księdza.

— Co Bodmer robił dzisiaj u ciebie?...

— Był z pierwszą wizytą — dowcipkował ksiądz, ale nabrany z góry przez kolegę, opowiedział mu całe zajście i rozmowę z Bodmerem, zamierzawszy tylko o układzie tyczącym się kapelanji w Leśnej. Gdy skończył, profesor pokręcił głową...

— Więc mówisz że chciał ślubowi przeszkodzić? Dziwna rzecz!... Zkąd on do tego przychodzi? Zkąd on tak dobrze wiedział o godzinie ślubu? Co mu zależało na tem czy jakaś tam Bzowska, której nigdy nie widział, pójdzie lub niepójdzie za Bożyckiego?... To jakaś zagadka...

Tak go to wszystko zaciekawiło, tak mu niedawało pokoju, że wiercił się i kręcił, a wreszcie niemogąc dłużej wytrzymać, zerwał się z krzesła i pożegnał proboszcza...

Po jego odejściu ksiądz zatkał niedopitą butelkę, wychylił z kieliszka resztę wina i z założonymi rękami usiadł na krześle, wpatrując się w lampę na stole stojącą... Uśmiechał się do swoich myśli, do swoich zamiarów. Rozmyślał nad tem jakby najprędzej wyswatać Bodmera, jakby najprędzej dojść do filialnego kościoła w Leśnej. Staruszek przebiegał myślą wszystkie znane sobie panny i wdowy, zaglądał i do dworów szlacheckich i do mieszczańskich domków, ale nigdzie nie stosownego nie znalazł... Jedna była ładna ale za lekka... druga ładna ale za uboga... trzecia ładna ale głupia... a dla Bodmera trzeba było znaleźć coś osobliwszego... bo wart był dużo... kochał lud, z którego wyszedł proboszcz...

Była wprawdzie jedna... ładna... rozumna... bogata nawet... ale... ale... daleka droga do jej ręki... trudne konkury... daleko ztąd do owąd... Choć próbować nie zawadzi... a nuż się uda...

I stary proboszcz zasnął sobie na krzeselku — uśmiechając... (C. d. n.)

Złoty zegarek.

NOWELLA

(C. d.) — One pieniędzy wiele mają, mogą sobie kupić zegarki złote! Rodziców mają! — mówił do siebie chłopak. — I ja kiedyś miałem rodziców zamożnych... — Jednocześnie wzrok jego zwrócił się na żebraka, ten tak jak i on nie miał pieniędzy... Lżej mu się zrobiło, nie on jeden nie ma pieniędzy, nie on jeden tak biedny, że kupić sobie nie może zegarka złotego! I pomyślał sobie, że z wielu ludzi musieliby się śmiać subjecki w magazynie ozdobnym...

Nowa zagadka spokoju mu nie dawała: „Ile ludzi ma zegarki złote? Szedł tedy ehłopak po ulicy i mówił do siebie:

— Ten ma, a ten pewno nie ma!— Kilka razy zdawało mu się, że niewątpliwie roztrygnał tę złą i iną ciekawą kwestję statystyczną, lecz wtem zobaczył człowieka, z którego powierzchowności nie mógł orzekać bez wahania, czy on ma zegarek złoty? Więc postanowił rozjaśnić wątpliwość.

— Proszę mnie powiedzieć: czy pan ma... zegarek złoty?

Przechodzień osłupiał, lecz wnet roześmiał się, pokręcił go za ucho i rzekł:

— Oj ty!... — i poszedł dalej.

Twarz chłopca oblała się purpurą. Jak on śmiał pokręcić go za ucho, kiedy i ojciec nawet nigdy tego nie robił? I za co? Za to, że się spytał czy ma zegarek złoty? Cóż w tem zdroźnego? I rozwiązał tak pytanie: „Pewno on nie ma i pomyślał, że z niego drwię, tak jak ze mnie drwili, że nie mam pieniędzy“. Niepowodzeniem niezrażony, chłopak postanowił wyświetlić pytanie co go trapiło. Poszedł więc do posłańca miejskiego, barczystego staruszka o siwych już włosach, którego powierzchowność wzbudzała zaufanie, uklonił się mu grzecznie i spytał z cicha:

— Przepraszam pana! Czy to wielu ludzi ma... zegarki złote?

Na twarzy posłańca wypiętnowało się oburzenie, a zarazem smutek. Pokiwał głową. Westchnął. Może on miał takiego małego wnuka!...

— Fe — rzekł nareszcie — taki mały! precz! — i pałką mu pogroził!...

Uciekł czempredziej chłopak i pytanie nierozwiązanem zostało, czy wiele ludzi posiada zegarki złote?...

Głód i zimno coraz więcej czuć się dawały. Przed nim cukiernia. Tu ciastka wabiły chłopaka; tak mu cię jeść chciało. I myślał sobie: tyle tam tego jest, czyż i dla mnie nie znajdzie się cokolwiek? Wszedł tedy, głód dodał mu odwagi i zwracając się do właściciela cukierni przemówił:

— Mój panie! pan ma tyle ciastek a ja żadnego nie mam i!...

Cukiernik nieco się zdziwił, słysząc taki początek.

— I bardzo jeść chcę... Jestem sierotą... — rzekł dalej chłopak nieśmiało.

Cukiernik nie śmiał się już, ani się rozgniewał — owszem, na rękę był mu malec do usługi.

— Chcesz pracować? — spytał.

Przeszło parę zaledwie godzin, a już bohater nasz był po obiedzie i w nowym ubraniu, jako „mały“ roznosił w cukierni kawę, herbatę i czekoladę i zręcznie się wywijał, podając ciastka... Trzeba było widzieć wyraz twarzy nowych współkolegów naszego chłopaka, gdy po kolei pytał każdego: „Czy ma zegarek złoty?“ Długo się śmiali chłopcy, aż się wszyscy obejrzeli, i ilekroć przechodzili koło przybysza, wybuchali znowu śmiechem serdecznym, tak jak tylko dzieci śmiać się umieją.

Na wstępie przewali naszego bohatera: „Złotym zegarkiem“. Przewisko bynajmniej go nie obrażało, owszem był rad, że mu przypominano to, co od niedawna celem życia jego się stało. W cukierni służył pilnie i uczciwie, nigdy ciastka najmniejszego nie wziął bez pozwolenia, nawet wtedy, gdy nikogo nie było w pokoju i gdy się nie mógł domysleć, że spoglądają na niego z ubocza. Rzadko się śmiał i bawił z współkolegami, albo był zajęty i w tym względzie mógł służyć za przykład, albo zatopiony w zadumie; pragnął za pomocą lotnej wyobraźni przedrzeć zasłonę przyszłości, w której zegarek złoty naturalnie przeważną odgrywał rolę; o tem tylko myślał we dnie i w nocy!...

Jak zakochany, dumając o lubej, usuwa z drogi najgroźniejsze nawet przeszkody, tak bohater nasz w marzeniach swych realne widoki przyszłości łączył z fantastycznymi. Marzył, że jaki pan bogaty lub piękna pani, da mu wiele, wiele pieniędzy, ale nie jako jałmużnę, nie! ale... da! poprosi, żeby przyjął. To znowu ludził się nadzieją, że znajdzie na ulicy ogromną sumę pieniędzy, że odniesie prawemu właścicielowi, a ten, jako nagrodę, tyle mu użyczy, że kupi sobie nietylko zegarek złoty, ale i łańcuszek z tego szlachetnego metalu! Dalej nie sięgały marzenia, chyba bardzo rzadko, gdy się zjawiała perspektywa kupienia domu i koni skarogniadych... Ach! tyle razy czytał o zgubach w dziale ogłoszeń *Kurjera*, tam, na samym końcu stronicy... Czyż to tak trudno znaleźć cokolwiek na ulicy? Jeżeli ludzie tracą, to wszakże kłokolwiek zgubę podjąć musi, więc dlaczego koniecznie on nie ma znaleźć?... Lub marzył znów, że wykryje jakiego wielkiego zbrodniarza i że mu za to dadzą już wprost zegarek złoty... Albo też czekał zdarzenia, w którymby mógł uchronić zakład cukierniczy od wielkiego nieszczęścia, na przykład: pożar wybuchnie, a on ogień stłumi, lub z płomieni wyniesie małą córeczkę pryncypała. I wiele, wiele zdarzeń możliwych przewidywała młoda wyobraźnia, rozogniona żądzą niepokonaną.

Ta uporczywa stałość znamionowała w przyszłości energję niezłomną... Tak mu się chciało dojść do posiadania zegarka złotego! Niewiele chyba na świecie ludzi o równie skromnych żądaniach!...

Wciąż myśląc o jednej rzeczy, chłopak nasz nąłogowo upewniał się w przyszłym urzeczywistnieniu swych marzeń, doszedł nakoniec do pewnych niewzruszonych według niego podstaw, na których oparł niezawodną — tak sądził — teorię swojej przyszłości. Już sobie pytania nie zadawał, czy dojdzie kiedykolwiek do posiadania zegarka złotego, lecz tylko „czy prędko?“ Jak temu, co wpatrując się zdaleka w drogę złą przyjsć ma droga osoba, wskutek zmęczenia oczu i niezaspokojonej długo wyobraźni, już się zdaje, że widzi tę, której z taką tęsknotą oczekuje, chociaż droga pusta jak przedtem, tak i bohater nasz coraz więcej wpadał w stan gorączkowy, bo mu się zda-

walo, że jeżeli nie dziś, to jutro, nie minie go zegarek złoty! Codzień rano wstając, mówił sobie, że być może po raz ostatni budzi się, nie słysząc owego upragnionego szmeru: Tik tak! Tik-tak! Tik-tak! O! wiele razy nadaremnie powtórzył toż samo!

Tymczasem z naddatków, otrzymywanych za odnoszenie ciast do mieszkań, składała się suma, która w końcu roku miała być podzieloną na równe części między wszystkimi usługującymi. W tem pokładał on największą nadzieję, bo w pierwszym roku żadnej płacy nie pobierał — za nią starczyło całkowite utrzymanie. Współkoledzy jego już się gotowali roztrwonić owe naddatki na drobnostki, on zaś przyrzekł sobie, że ani grosza nie użyje na fraszki, dopóki nie kupi upragnionego przedmiotu!

Przeszedł rok.

Rok pracy, rok marzeń nadaremnych.

Chłopakowi naszemu zdawało się, że już zbierał potrzebną sumę, lecz grubo się pomylił, daleko było jeszcze do celu! Cierpliwość go pomału opuszczała, poczęła, tak długo już myślał o tem, tak długo zbierał, a tymczasem — tak daleko do końca! Na rok przyszedł bez niepokoju oczekiwał urzeczywistnienia swych planów, ale rok cały jeszcze czekać!... O! to straszna męczarnia! Zjawiła się zawiść. Ci ludzie, którzy codziennie do cukierni przychodzili, mieli zegarki złote, a nie myśleli o nich zapewne tak długo, nie pracowali mozolnie na zbieranie potrzebnej ilości grosza, zresztą może i nie pragnęli tak gorąco, jak on pragnął; mieli pieniądze i kupili — po prostu.

Rok przeszedł, a na ulicy nie znalazł chłopak nawet i „dyski“, i kradzieży nie wykrył, i pożaru nie było.... Głucha, nie zawsze zręcznie tajona nienawiść, zaczęła się w nim objawiać, stał się smutniejszym, więcej zamysłonym niż przedtem, i im więcej bez skutku upływało czasu, tem zaciętsze żądze trawiły go.... Gdy w cukierni ktokolwiek wyjmował z kieszeni zegarek, patrząc „która godzina“, chłopak nasz odwracał się — teraz już nie mógł znieść widoku tego, bo mu do głowy złe przychodziły myśli....

Było wtem coś chorobliwego... Już spokojnie nie mógł marzyć, widząc, jak daleką jest zimna rzeczywistość od tych ognistych snów wyobraźni, w które przed końcem roku taką jeszcze wiarę pokładał! Często płakał w nocy, tłumiąc łkania, by nikt się płaczu nie domyślił....

Pewnego dnia, pod wieczór, polecono bohaterowi naszemu zanieść do jakiegoś Niemca zegarmistrza, tort z cyfrą jego żony; — imieniny chciał zegarmistrz obejść świetnie....

Gdy chłopak przyniósł:

— Gut, gut! — rzekł staruszek i zaczął pilnie szukać w kieszeni pieniędzy. Wyjął dziesiątkę, popatrzał, pomyślał i uznał, że to za wiele, więc wyszedł do drugiego pokoju, by drobnych poszukać u żony.

Sam jeden został chłopiec.... Przed nim leżały zegarki i tyle ich było!

— Co to za człowiek szczęśliwy! — rzekł do siebie bohater nasz i zaczął opatrywać zdaleka drogie cacka. Niemiec nie powracał.

Boże! nagle chłopak poznał zegarek, co do ojca jego należał!

Straszna pokusa ośwładnęła nim całym.

— Czego zegarmistrz nie przychodzi? — mówił do siebie i to jedno zapytanie trwogą go jakąś tajemną przejmowało.

Niemiec staruszek szukał ośmiu groszy....

Chłopak, jak męczennik, stał przed ślicznym sprzętem; tyle go razy trzymał w ręku, pieścił i do ucha przykładał. Ślicznie ozdobiony był zegarek genewski.... Wydawało się mu, jak gdyby zegarek prosił, by go zabrał — indeksy czarne z błękitnym odbłaskiem, jak ramiona rozkrzyżował — wyciągał ku niemu i szeptał: Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

Chłopiec chciał wyjść, uciec przed pokusą, lecz nie mógł, przykuwał go do ziemi widok zegarka ojcowskiego....

— Dlaczego niemiec nie przychodzi?!

Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

Tak długo marzył o zegarku złotym, tu — było ich tyle, a pomiędzy niemi.... ów ojca! — Niemiec bez tego, tak wiele ich ma! Zegarmistrz staruszek za nic znaleźć nie mógł.... ośmiu groszy....

Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

Zawróciło się chłopakowi w głowie: „Jeszcze czas, nikogo nie ma“! przemknęło mu po myśli, wyciągnął rękę drżącą, chwycił zegarek, wyskoczył przez drzwi, i jak szalony popędził przez ulicę, tuląc skarb drogi; patrzył bojaźliwie po za siebie, drżał i leciał...

Cel osiągnięty! marzenie ziściło się! Lecz w jaki sposób? precz myśli natrętna, milez sumienie! Zmęczony się chłopak... po co uciekać? wszak nikt nie goni!

Szedł z wolna. Oto idzie po Krakowskim Przedmieściu. Przed nim kościół świętego Krzyża. Przed świątynią na podwyższeniu stoi statua Chrystusa z krzyżem między dwiema latarniami. Światło migocące pada na głowę, co dźwiga koronę cierniową....

Wśród cienia wieczora Syn Boży oświecony, wskazując niebo, jednocześnie wzrok ku ziemi zwraca — patrzy na chłopca! Choć wyraz twarzy łagodny ale oczy błyszczą groźnie.... Chłopak się zatrzymał, chciał czapkę zdjąć i nie mógł. Przyszli mu na myśl rodzice, przypomniał prawidła, jakie mu wszczepiali, wówczas gdy bez troski pod okiem ich się chował — ochłonął, zrozumiał co zrobił! Zarazem przestraszył się, zdało mu się, jak gdyby figura fantastyczna, ruchome kształty przyjęła, krzyżem mu drogę zagroziła. W takiej formie objawiła się świadomość występku w umyśle wrażliwym a nierozwiniętym chłopaka, strwożonego przygodą. Zatrząsał się biedak i jak wryty

stał na miejscu spoglądając na zjawisko.... A zegarek w jego rękę, jak sumienie, cicho szeptał: Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

Długo tak stał i myślał bohater nasz, aż wreszcie pochylila się głowa, sfałdowało czoło, lez parę dużych stoczyło się po twarzy.

Obrócił się i zwolna, ze spuszczoną głową, młody winowajca poszedł napowrót do niemca-zegarmistrza — tam na kolanach przyznał się do winy, a starowina, który na razie nie zauważył zniknięcia zegarka, oddanego mu do naprawy, z łatwością przebaczył i obiecał nawet, nikomu nie mówić o zdarzeniu, ale za karę ośmiu groszy, wreszcie znalezionych, nie dał!

Chłopak nasz upokorzony powracał zwolna do domu.... Spuścił na dół głowę i oczyma zdawał się liczyć kamienie. Czuł, że inaczej nie mógł postąpić, że nie tylko obowiązkiem było, lecz koniecznością, oddać zegarek Niemcowi, a jednak, jednak.... wstydził się za bohatera swojego, mocno żałował cacka o złotej powłoce, tęsknił za jego szmerem powabnym. Nigdy być może chęć posiadania upragnionego przedmiotu nie doszła do tego stopnia!

Chłopak nasz śladem „drugich“ stawiał pierwsze kroki na drodze życia, ale ponieważ dotąd wyobraźnia górowała nad innymi władzami umysłowymi, uroiło mu się w głowie, że dotychczasowa ironja losu — to niewątpliwy pewnik powodzenia na przyszłość — mniemał, że są na świecie jakieś szczególne prawa na szczęście, które zdobyć należy wstępnym bojem — drogą cierpienia i pracy, chociażby praca ta i cierpienia nie zawsze były celowe, wierzył, że wszystko będzie policzone, że istnieje jakaś ręka tajemnicza co na jedną szalę zbiera każdą kroplę potu — oznakę pracy, każdą łzę — świadectwo cierpienia i równoważąc niedolę ze szczęściem, z drugiej szali rozdaje w zamian, nawet większą miarą, prawo na powodzenie — otwiera wrota szczęśliwości, czyniąc ślepy przypadek służą wybranego, co przeszedł przez losu męczarnie.

I jak tu nie wierzyć? Na chodniku dostrzegł nasz bohater coś białego — świecącego.... Podjął. Był to papier złożony w kształcie koperty i zawierało nieba! dwadzieścia pięć rubli w jednej sztuce. Chłopak krzyknął z radości i w wesołych podskokach pobiegł do domu.

Tutaj po raz pierwszy otrzymał połażankę za to, że tak długo włóczył się po mieście, ale przykrość ta nie znaczyła w porównaniu ze szczęściem co go tak niespodzianie spotkało...

— To los mi zesłał! — rzekł w duchu — gdy te pieniądze dołożę do kwoty uzbieranej w ciągu roku, dosyć będzie na kupienie złotego... dokończyć prawie nie mógł...

Na papierze nie było nadpisu do kogo należała zguba, wprawdzie dojrzał bohater nasz dwa słowa,

nawet wyraźnie napisane, lecz napróżno odcyfrować je usiłował! Po polsku umiał czytać — i nawet dobrze — ale tu.. nic nie pojmował, niektóre litery były rodzime, ale reszta — jakieś inne.

W tym względzie zgodził się z nim jego współkolega z cukierni, gdy chłopak papier pokazał, nie wspominając o pieniądzach... Obydwaj nie umieli języka urzędowego... Ach! gdyby nadpis był zrozumiałe!

Wprawdzie przemknęła myśl, że należałoby ogłosić w gazetach, że być może znajdzie się prawy właściciel pieniędzy, ale po poprzednich niepowodzeniach chłopak uznał, że to znaczyłoby odtrącić szczęście, które go samo szukało!

— Ten co tak niebacznie pieniądze niesie, nie wart ich posiadania lub zapewne ma ich bardzo wiele...

Tym sofizmatem uspokoił budzące się skrupuły...

(Dokończenie nastąpi.)

POLNA RÓŻYCZKA.

W lesistej cieni
Rozkwita wolna,
Pośród zieleni
Różyczka polna.
Wietrzyk ją poi,
I karmi rosa,
A słońce stroi,
Pieszczą niebiosa.
Zwierciadło rzeczki
Patrzy w wiosniane
Świeże listeczki,
W szkarłat odziane.

Kiedy majowy
Zabłyśnie dzionek
Nad kwiat różowy
Wzłata skowronek
I ptacy leśni
Z ponad ruczaju
Witają w pieśni
Królowę gaju.
A gdy zapada
Słonko w dolinie,
To słówek siada
W leśnej gęstwinie;
Do róży wdycha,
Miłośnie śpiewa.

A wiatr ucicha,
Słuchają drzewa.
O szczęsna różo
W cichej ustroni!
Ciebie przed burzą
Gaj cały chroni;
Skwar cię nie spali,
Więher nie złamie,
Bo cię ocali
Przyjazne ramię.
Pod drzewek cieniem
Rośnij, rozkwitaj,
Jasnym spojrzeniem
Niebiosa witaj.
Rośnij, o kwiecie!
Aż cię kochanek
Radośnie splecie
Na ślubny wianek.

Wtedy na nowo
Błyśniesz swawolna,
Kwiatów królowo,
Różyczko polna!
Życie w ezar zmieni
Uroda twoja,
Kwiatku z zacieni,
Różyczko moja!

Potęga prawdy.

(Dokończenie). Przy końcu kwietnia, w dzień ciepły i pogodny, Gehren odebrał pismo odnośne, powołujące go natychmiast do Berlina. Miał zatem odjechać tej samej nocy, pospiesznym pociągiem.

Rzeczy były już po większej części spakowane. Do dziewiątej rano resztę pobierał, kufry pozamykał, zapłacił gospodyni za pomieszkanie, skoczył do biura po uwolnienie od urzędu dotąd pełnionego, rozkładając sobie czas nieledwie na minuty, z żołnierską punktualnością. Wreszcie koło południa najął remizę elegancką, żeby w niej pooddawać wizyty pożegnalne.

Służący roznosił bilety, tu i owdzie, zupełnie jak przed dwoma laty, z tą li różnicą, że wtedy witał, a dziś miał pożegnać... na zawsze.

Gdy atoli wtedy uważał siebie za człowieka doświadczonego i dojrzałego, którego życie nie może znaleźć nieprzygotowanym i robić niespodzianki, dziś musiał wyznać ze wstydem, iż cała jego mądrość, głupstwem była po prostu.

Powóz przyjechał po pod willę, gdzie jeszcze w sierpniu, roku zeszłego, pił herbatkę *quasi* familijną z państwem Althaus; dalej błysnęły mu przed oczyma pomniki marmurowe i krzyże na cmentarzu, przypominając zimne i bezlitośne teorje, które wykladał Detlewowi, wracając z radcy pogrzebu. Do każdego miejsca przywiązane było jakieś upokarzające go wspomnienie.

Powóz skręcił na drogę żwirową, tocząc się cicho po piasku, póki nie stanął przed bramą pałacu Löwensternów.

Nad głową szumiały drzew konary, osypane świeżem delikatnem liściem, zaledwie wydobywajacem się z obsłonek zimowych. Na stawie marszczyła się lekko wody powierzchnia, odbijając lazur nieba i słońca złote promienie. Któżby pomyślał, że tak niedawno lód gruby pokrywał fale, dziś tak wesoło, tak swobodnie płynące. A jednak zaledwie kilka miesięcy temu, na tym lodzie tak mu się fatalnie noga powinęła, tyle popełnił omyłek, taką okrył się śmiesznością!

Patrzył na te miejsca, gdzie zbłądził na manowce, gdzie zniósł tak straszliwe upokorzenie, prawdopodobnie po raz ostatni. Wiedział że czas zatrze prędzej czy później w jego pamięci, nawet obraz miasta, w którym spędził całe dwa lata.

Dziś już zdawało mu się, że od owej chwili, kiedy po raz pierwszy z Astą rozmawiał, wieczność minęła. Zapomni i ludzi z którymi żył i obcował.

Przesunie mu się przed oczami, niby w latarni czarnoksiężkiej, tyle nowych horyzontów, tyle krajów, tyle rozmaitych osobistości. Wyniesie li z tych miejsc doświadczenie. To jego własność dość drogo okupiona, aby jej sobie odebrać nie pozwolił.

Mało kto wart zresztą, żeby o nim wiecznie pamiętać. Ileż to plewy trzeba odrzucić na młynku wspomnień, zanim jakie zdrowe ziarno zostanie. Szczególniej też, w tak nazwanem: „wyższem Towarzystwie!“

Tu właśnie, w tym pałacu, spotkał dwa rzadkie wyjątki. Tych trudno mu będzie zapomnieć. Jakież serce gorące bije w łonie poczciwego Detlewa; jak w nim miliony nie potrafiły przytłumić marzycielstwa, zapału, dla wszystkiego co piękne i dobre!... Asta, siostra jego, to czysta, wzniosła dusza dziewicza!...

Ile razy teraz stanie mu w oczach komnata z zamku Gehrenów, nie tylko matki postać zarysuje się blademi konturami na krzesle pod baldachimem, przypomni sobie i Astę cichą, dziwnie skruszoną, i z łez śladami na powiekach obrzękłych.

Jak mógł być tak zaślepionym i nie poznać się na tej szlachetnej istocie? Jeżeli która, to ona właśnie, godną była zasiąść na miejscu jego małżonki, nosić nazwisko Gehrenów.... Że go nie pokochała, on sam temu winien.

Służący drzwiczki otworzył.

Roman wyskoczył i wbiegł szybko na wschody.

Tym razem ani spojrzął na Hermesa nad bramą. Wcale go ten kunktator olimpijski nie obchodził.

Wszystko odbyło się tym samym porządkiem, jak przy pierwszej wizycie, oddanej pannie Löwenstern.

Asta wyszła na jego spotkanie, złamana, blada, wahająca, niemal pokorna. Spojrzała mu w oczy pytająco.

— Przychodzę pożegnać państwa — rzekł cicho, głosem lekko drżącym. — Powołują mnie do konsulatu. Tej nocy odjeżdżam.

Smętnie główką skinęła i szpnęła tonem dziwnie żałosnym.

— Domyśliłam się tego... Tak więc rychło trzeba się będzie żegnać... może na zawsze.

Patrzyła przed siebie, tak łzawo, tak bez nadziei, jakby świat cały zmienił się dla niej w pustynię.

— Chętnie pan opuszczasz nasze strony, nieprawdaż?

— Czy chętnie? — powtórzył tonem lekkiego wyrzutu. — Nie pani. — Odjeżdżam.... daleko, bo to dobrze będzie dla mnie.... było mi to nawet nieodzownie potrzebnem... Przed odjazdem, radbym osiągnąć coś, czego pragnę z duszy. Oto, nie chciałbym zostać w twojej pani pamięci, jako człowiek nikiemny, podły niemal, który przestając z dziewicą piękną, szlachetną i dobrą, nie miał innych myśli. do niczego innego nie wdychał, prócz do nędznej mamony. Tyle przynajmniej chcę wywalczyć, skoro mi los przekorny odmawia szczęścia prawdziwego. Wyspowiadałem się szczerze, co mię pierwotnie ku pani popchnęło. Dziś... w chwili pożegnania... na wieki, niech mi wolno będzie oddać hołd prawdzie i powiedzieć ci pani, że wkrótce zapomniiał o wszelkich brudnych rachunkach... patrząc na ciebie. Sądziysz całkiem niesłusznie,

iż pani osoba nie może wzbudzić żywszego zajęcia, interesu.... miłości namiętnej!.. Tak pani!.. Dlaczego mam szukać jakichś innych określeń, tego uczucia najświętszego, a zamkniętego w jednym wyrazie: miłość! Wiem o tem niestety, z własnego bolesnego doświadczenia. Jeżeli w życiu późniejszym uczujesz próżnię w koło siebie, jeżeli zatęsknisz za ogniskiem domowem, za własną rodziną, oskarżaj o to li siebie, żeś samotną na świecie. Czemużeś nie chciała czy nie umiała sercem serce zapłacić?

Asta wpatrzyła się w niego po dawnemu, jakby go chciała na wskrós przeniknąć.

— Czyżby rzeczywiście, maska, którą przybrałam, była tak ludzającą, iż pan po za nią niczego nie spostrzegłeś? A więc i ja nie chcę pozostać w pańskiej pamięci, jako istota bezduszna, jako ciężki hamulec na twojej drodze. Wyznaję z całą otwartością, iż pokochałam pana niemal od pierwszej chwili poznania, że cierpiałam niewypowiedziane, przypuszczając, iż moje „bóstwo“ jest li dobrym rachmistrzem, a ja dla niego przedmiotem nikczemnej spekulacji. To atoli przeszło bezpowrotnie... tam na progu komnaty matki pańskiej, w owej chwili szczęśliwej, kiedy wzruszony wspomnieniami lat dziecięcych zrzuciłeś ciężar z serca, niszcząc we mnie wszelką niewiarę, usuwając cień najlżejszy posadzeń i wątpliwości. Odtąd wierzę w pana i... Kocham go...

Głos jej stłumiło łkanie gwałtowne i oczy łzami zalane chusteczką przysłoniła.

I znowu na nic się nieprzydała Romanowi wysoka dyplomacja i spokój olimpijski, który przed chwilą udawał.

Z namiętnością człowieka pierwotnego, z żywocią młodzieńczą, porwał ją w ramiona i do piersi przycisnął, szepejąc razem z pierwszym pocałunkiem:

— Wolno mi zatem śnić o szczęściu najwyższem, Asto moja?!

* * *

Tego dnia samego, późnym wieczorem (tak obfite libacje wychylano bowiem w klubie na cześć Romana odjeżdżającego) Detlew wysiadł z powozu przed swoim pałacem, z miną dziwnie sztywną i uroczystą. Dżon wiedział już co to znaczy i pchnął natychmiast drugiego lokaja do kuchni, żeby tam przygotowano panu kawy czarnej na sposób turecki. Tym razem źle wyszedł na zbytnej gorliwości.

— Cymbale! — ofuknął go Detlew. — Czy myślisz żeś pijany?... Na kawę czas wielki!... Odwiedzimy piękną narzeczoną... chciałem powiedzieć... moją siostrę... Jasno jeszcze w jej pokoju... — zachichotał wesoło. — Wierzę bardzo!... i w głowie... i w serduszk... wszędzie dziś jasno... ha! ha! ha!... Muszę jej koniecznie dobranoc powiedzieć!

I zaczął się dzwigać powoli na pierwsze piętro, macając ostrożnie każdy stopień.

Rozcieszony, jak dziecko, wszedł do Asty.

— Przynoszę cię na świeżo... ty! ty! filutko, Romana uścisk ostatni...

Usiadł ciężko na dużym gotyckim fotelu, a założywszy nogę na nogę, śmiechem ni stąd ni zowąd wybuchnął.

— Kolosalne! Wasze zatem poślubne wizyty, będziecie składali Kanibalom! Widzę bowiem ze wszystkiego, że Romcio gotuje się po cichu do konsulatu w Matupe. Mnie bo to właśnie zachwyca. Im romantyczniej, tem lepiej. Pojadę do was, jak Bóg na niebie! Na powitanie, oswojony przez ciebie kangur, wskoczy mi na głowę i będzie tam wybębniał marsz tryumfalny. Ty, zamiast tak już spowszedniałych pereł i brylantów, będzie miała na sobie cały garnitur z muszli, a Gehren, który tymczasem wykształci się, na Duk-Duk a, aby mnie uczcić, wystąpi niby kłęb krzaków zielonych, poruszający się, o dziwo! na własnych nogach. Coś kolosalnego! Gehren, jako Duk-Duk! Niezrównane! Ha! ha! ha!.... I gdakają mi ciągle nad uszami. Precz z romantyzmem! precz z marzeniami! Trzeźwość przedewszystkiem, realizm, pozytywizm!!!... A tu ryccerz, którego antenaci walczyli jeszcze z Saracenami podczas Wojen Krzyżowych, ofiaruje miljonerce rękę swoją wraz z szałasem z trzciny bambusowej!... i miljonerka wcale przeciw temu nie protestuje. Z drugiej strony skromna hafciareczka zagarnia bez ceremonji w fartuszek, na wzór owej córeczki olbrzyma w bajce, co to przyniosła sobie do zabawy pług, woły i oracza.... zagarnia porucznika w pełnym rynsztunku, a ten nawet o pomoc nie woła! Ha! ha! ha!.... Jak ty na mnie oczy wytrzeszczasz... można umrzeć od śmiechu!.... Tak! tak! gagatek, przez ciebie protegowany, pan Althaus, spotkał się przypadkiem z swoją dawną miłością... również przez ciebie protegowaną, i ta go, ile się zdaje, na nogi postawi... Jak zakomenderowała: Od prawego, naprzód! marsz! marsz! tak Maksunio nie oglądawszy się po za siebie, poszedł prosto do pułkownika prosić o uwolnienie. Z tamtąd wpadł słysząc z trzaskiem i hałasem pękającej bomby dynamitowej do mamuńci, i nareszcie, dziś w nocy, odjeżdża do Berlina ze swoją gołąbką i przyszlą teściową, panią Walther. Calkiem w moim guście! Pozbędę się dzięki niebu i mojej zapalczywej adoratorki, panny Heleny!... będę mógł znowu przechadzać się swobodnie i nie będę zmuszony umykać jak zajęć przed chartami. Hi! hi! hi!... Nie dziw się i nie troszcz zanadto, jeżeli usłyszysz raptem, że twój brat zaręczony z wdówką o włosach ceglastych, którą sobie specjalnie z Paryża zapisał. No! podobna oryginalność licowałaby doskonale takim narwanicem, jak Detlew Löwenstern... Tymczasem atoli

puściłem w kurs bajeczkę, aby wykurzyć zład wysoko urodzoną i rzucić z karku tak mamę jak i córunię. Sztuczka udała mi się paradiu! Pomieszkawie wymówiły, i gdzieś wyprowadzają się... na wieś, do zamku krewniaka, samej radczyni... Tak się kłamie przed ludźmi a cichaczem osiada prawdopodobnie gdzieś na poddaszu w stolicy i tam poczeziwa hafciareczka dostarczy im roboty, w największym sekrecie ma się rozumieć! Damy wielkie, jak radczyni, do pracy za nic w świecie przyznać by się nie mogły! A więc kłamstwo do grobowej deski! — uderzył w stół pięścią gniewnie, wchodząc w drugie stadjum upojenia.

Asta wiedziała, czem go uspokoić:

— Napisałam do siostry Romana — wskazała ręką na list zaadresowany — zapraszając ją wraz z ciotką do nas. Ciocia będzie nam obydwom matkowała, póki...

— Ty nie zostaniesz panią Romanową — brat jej przerwał wesoło — a piękna Sylwia nie okiełzna waszego najniższego służki, Detlewa.... co? czy nie to snuje ci się po głowie siostruniu? Hi! hi! hi! jakiego raczka spiekła!.... Jeżeli tylko do Romana podobna... i ja nie od tego.... Partie carrée.... coraz romantyczniej! Jak Bożię Kocham!

Zaczął mrugać oczkami z najwyższym zadowoleniem.

— A widzisz siostruniu! — bełkotał coraz niezrozumialej — na moje wyszło!.... Dla kochanki, dla kochanka.... wystarczy nawet szalas bambusowy.... Jak to ty mnie z góry nabierałaś za moje marzycielstwo, za moje zapatrywania idealne.... Tyś dopiero idealistka na wielki kamień!.... do kompanji z tą hafciareczką, wiozącą w fartuszkach porucznika!

Asta głową skinęła z okiem lżą zamglonem:

— Nie raz już tak się zdarzało — szepnęła — iż świat potępiał wszelkie ideały i te musiały szukać gdzieś pewnego schronienia. Znajdywały zaś cichą ostoję u tych, którzy za słabych uchodzili. My biedne dziewczęta, ukrywałyśmy na dnie serc naszych tych monarchów, z tronu zrzuconych, tam im budując ołtarze i hołd składając w największej tajemnicy. I oto nadszedł dzień tryumfu, w którym te wielkości zapoznane, rozwijają właściwy sztandar i nas wszystkich prowadzą do zwycięstwa.

— Bylem tylko ja nie wyszedł z próżnemi rękami z tej całej historii! — biadał Detlew, z głową ponuro na piersi spuszczoną upojenie bowiem, wchodziło w stadjum trzecie żalości i rozrzewnienia. — Dobranoc siostruniu! dobranoc Asto! a nie wyrzucić całkiem z serca i pamięci twójego biednego braciszka, tego wiernego herolda szlachetnych ideałów.... gdy już ujrzy się w szalasi bambusowym, sam na sam z Romciem ukochanym.... Coś kolosalnego!... Gehren

jako Duk-Duk! hi! hi! hi! — zachichotał zataczając się na schody.

Szczęśliwie dostał się na dół i cisza wokoło zaległa.

Asta długo, długo, zasnąć nie mogła. Nadto wiele wrażeń radośnych serce jej rozpiekało. Teraz się dowiedziała, iż są inne szczyty niż góra złota, z których obejmuje się świat cały, te, gdzie miłość szczerza prowadzi. O ileż czuła się szczęśliwszą i spokojniejszą, upokorzona w dumie źle zrozumianej, ale za to wyższa uczuciem prawdziwym. Odtąd święcie postanowiła nie wymierzać miłości, nie pytać, czy jej tą samą miarą oddadzą, tylko kochać z duszy całej. Czyż i to by nie było rodzajem niewygodnej szacherki? Czowała instynktowo, iż im więcej da, tem będzie bogatszą i szczęśliwszą.

Zegar miejski drugą wydzwonił. O tej późnej godzinie miał Roman odjechać pociągiem pośpiesznym.

Wyszła na balkon w dal zapatrzona. Księżyc tonął w mgłę nocnej, tylko gdzieś niegdzie szyny, które miały pędzić wagony, unoszące Romana w świat szeroki, świeciły w blasku latarni. Usłyszała świst przeciągły.... chmura dymu pociąg zasłoniła.... gdy się rozwiała, wszystko zniknęło, niby senne marzenie.

Ustami drżącemi wyszeptwała za odjeżdżającym słowa gorącej modlitwy, a zarazem namiętnej tęsknoty do owej chwili błogosławionej, kiedy ten sam pociąg uniesie ją razem z jej mężem nad wszystko ukochanym, kiedy zostanie na wieki jego wierną i uległą żoną.

KONIEC.

Alfa

Korespondencja redakcji.

Wny K. S. w R. Przedadło!

Wny L. w K. A siódme przykazanie?

Wna R. „Był czas gdzieś marzył o burzach namiętych“...

Wna S. I. w I. Jakoś to będzie.

Wny L. Drukowane nie będzie.

Wna Sw. L. R. w S. „Tam kędy wichrów i mgieł ciemnych zwoje... tam myśli moje, tam marzenia moje...“ i poezje moje...

Wny ks. L. To nie ładnie!

Wny J. Klap. w L. Dobrze do „Szczutka“.

Wna A. L. w P. Odpowiedź listownie.

Wn J. w Z. Nie kwalifikuje się.

Wny K. w S. Odkładamy my później.

Wna A. R. w I. Skorzystamy.

Wny Ł. T. w T. Doręczyliśmy.

Wna U. W. w S. Poszło do kosza.

Wny J. Z. w D. Prosimy.

Wny ks. T. J. w N. Zapóźno.

